Przemysław Pufal

BAGNA

PRZEMYSŁAW PUFAL

BAGNA

© Copyright by Przemysław Pufal &

Grafika i projekt okładki: Przemysław Pufal

ISBN 978-83-62480-20-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2010

Prawalewa

Kto ją tak przezwał, nie wiadomo, ale nie było to grzeczne, choć zgodne z prawdą. Przezwisko pochodziło od jej zachowania, a ściślej mówiąc, od stylu chodzenia. Prawalewa chodząc zataczała się, od prawej do lewej lub odwrotnie.

Uważni obserwatorzy, a tych w miasteczku nie brakowało, twierdzili, że zataczaniem się Prawejlewej nie rządzi żadna logika, żadna zasada, w każdym razie nigdy nie było im dane jej odkryć.

Prawalewa czasami miewała koszmary. Śniła się sobie samej, idąca prosto, jak modelka z telewizji i nikt, ale to nikt nie zwracał na nią uwagi. Sam sen nie był koszmarem, ale stawało się nim przebudzenie, kiedy stwierdzała, że nadal, po staremu, zatacza się.

Codziennie zastanawiała się, kiedy to się zaczęło. Czasami myślała, że taka się urodziła, ale przypominała sobie chwile z dzieciństwa, kiedy chodziła prosto, bez tych niepotrzebnych, meczących ruchów. O swoją przypadłość czywiście pytała rodziców, ale oni, jak to rodzice, twierdzili, że nie widzą nic niezwykłego w sposobie jej poruszania się.

Ale widziało to całe miasteczko. Gapili się wszyscy, niektórzy dyskretnie, inni otwarcie. Część milczała, przynajmniej w jej obecności, reszta głośno komentowała używając często słów, których powtarzać nie wypada. Mniej wulgarne wypowiedzi to: „Ta znowu wylazła z domu,

będzie dzieci straszyć”, „Uważaj, Prawalewa nadciąga, żeby cię nie staranowała” albo „O! idzie, królewna, cały chodnik jak zwykle musi być jej”.

Dzieciaki krzyczały, pluły, rzucały kamieniami, a porządni dorośli cieszyli się, że nie muszą robić tego sami.

Odwiedzający miasteczko obcy tylko odskakiwali szybko w bok, gdy los zesłał na ich drogę Prawąlewą i pytali miejscowych na co cierpi ta kobieta. Nikt niestety nie wiedział, a im bardziej myśleli na temat przyczyny jej zataczania się, tym bardziej się bali. Ona również nie wiedziała, ale nie swojej niewiedzy się bała.

Pewnego razu Prawalewa szła jak zwykle co chwila odbijając to w lewo to w prawo, co strasznie ją męczyło, również psychicznie. Przed pocztą jakaś bardzo gruba dziewczynka ubrana w obcisłe pończoszki i takiż sam sweterek wpadła na Prawąlewą. Tym razem to ktoś potrącił ją, a nie ona kogoś, lecz skutki były takie jak zwykle.

– Ty krowo! – krzyknęła tłuścioszka. – Uważaj, jak chodzisz!

Następnie, chwilę jakby się nad czymś zastanawiała, a potem z całego swojego niemałego ciała wydobyła głośny ryk. Od razu zbiegło się kilkanaście osób, niektórzy już szukali kamieni do rzucania, ale niczego nie znalazłszy, wykrzykiwali w stronę Prawejlewej jakieś obelgi.

Z budynku poczty wyszła matka dziewczynki i złapała się za głowę.

– Co ci zrobiła ta wariatka?! – Prawalewa nigdy nie sprzeciwiała się, gdy ją tak nazywali, chociaż nikt nigdy nie udowodnił, że jest nienormalna.

– Szłam sobie grzecznie. – Dziewczynka zaczęła swoją opowieść tonem recydywisty na kolejnej sądowej rozprawie. – A ta kretynka specjalnie mnie potrąciła! Upadłam, a ona mnie kopnęła!

I parówkowatym palcem wskazała na Prawąlewą. Kilka osób zaczęło potakiwać, inni już opowiadali matce dziewczynki drastyczniejsze wersje tego, czego nie widzieli.

Tłum zaciągnął oskarżoną na posterunek policji. Tam dziewczynka, jej matka i kilkanaście osób złożyli swoje zeznania. Policjanci nie zapytali Prawejlewej o jej wersję wydarzenia, tylko z widocznym profesjonalnym obrzydzeniem na twarzach zamknęli ją w ponurej celi.

Prawalewa spędziła w niej trzy dni, w czasie których zapominano donieść jej jedzenie, pokazywano przez wizjer zwiedzającym, a następnie wypuszczono mówiąc: „Zamknięcie cię tutaj to była pomyłka, ale z chęcią pomylilibyśmy się jeszcze raz. Nie opuszczaj miasta!”

Tak jakby kiedykolwiek je opuszczała.

W jakiś czas potem goniec przyniósł jej wezwanie do stawienia się w ratuszu.

Weszła i strażnik skierował ją do największej sali budynku. Zgromadzili się tam wszyscy mieszkańcy miasteczka. Zataczając się szła przez tłum w stronę krzesła wskazanego jej przez burmistrza. Nikt nic nie mówił. Usiadła, krzesło zaskrzypiało, ludzie zabijali ją wzrokiem. Spuściła głowę.

– Czy wie pani z jakiego powodu ją tu wezwaliśmy? – zapytał burmistrz. Był niskim, wysuszonym człowieczkiem, ubranym w ciężki gronostajowy płaszcz, złoty łańcuch z herbem miasteczka i wysoki biret.

– Zarzuty są następujące – zaczął wyliczać burmistrz. – Świadome łamanie porządku prawnego naszego miasteczka, świadome sprzeciwianie się moralności w miejscach publicznych, sprowadzanie niebezpieczeństwa w ruchu drogowym na przejściach dla pieszych, tratowanie naszych dzieci, deptanie trawników i miejsc nie przeznaczonych na poruszanie się tam pieszych, wybijanie szyb wystawowych, odstraszanie turystów, uporczywe, a co najgorsze, całkowicie świadome ignorowanie prawa lokalnej społeczności do nieoglądania takiego zataczającego się… człowieka.

Ostatni wyraz burmistrz wymówił jakby zastanawiał się, czy nie użyć innego określenia, ale po chwili zrezygnował.

Prawalewa odważyła się spojrzeć na burmistrza i herb miasta na złotym łańcuchu: wielka dzika świnia z biegnącym dookoła niej napisem: „salus populi suprema lex” pięknie lśniła w promieniach słońca wpadających do sali przez ogromne okna.

Jako oskarżona chciała odpowiedzieć na zarzuty, układała sobie w myślach swoje wystąpienie. Nie mogła sobie przypomnieć kiedy i w jaki sposób była niemoralna. I choć miała takie marzenia, żaden mężczyzna w mieście nie zbliżył się do niej z własnej woli na odległość mniejszą niż wyciągnięta ręka z potłuczoną butelką po wódce. Co do niebezpieczeństwa w ruchu drogowym, to rzeczywiście zdarzało się Prawejlewej zatoczyć na jezdnię lub znienacka wtargnąć na przejście dla pieszych, kiedy organizm po raz milionowy odmówił jej posłuszeństwa. Z tym zarzutem wiązało się wybicie szyby wystawowej, jednej tylko, gdy jakiś nastolatek wjechał na chodnik, aby ją nastraszyć. Tak, mogła się przyznać do wpadania na ludzi, ale przecież nie chciała tego robić, nigdy, przenigdy. W pełni zgadzała się z prawem innych do nieoglądania

jej zataczającej się. Ona również chętnie pozbyłaby się tego ze swojego życia.

Z zamyślenia wyrwało ją pytanie burmistrza:

– I co ma pani na swoją obronę?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy z sali usłyszała okrzyki:

– Nic nie ma! Jak coś takiego może żyć wśród porządnych ludzi! To hańba! Czarcia sprawka! Winna! Winna!

Burmistrz rozłożył ręce i próbował uciszyć ludzi. Kiedy w końcu mu się to udało, z udawanym smutkiem i widocznym zadowoleniem powiedział:

– Sprawiedliwości stało się zadość! Nie masz nic na swoją obronę, a zbiorowa mądrość naszych szacownych obywateli obwieściła werdykt. Skazujemy cię na…

Prawalewa nie usłyszała ostatnich słów wypowiedzianych przez burmistrza, zemdlała. Tłum zaczął wyć. Przeniesiono ją do pomieszczenia przylegającego do sali. Tam uderzeniem w twarz ocucił ją strażnik miejski.

– Nawet w takim dniu musisz robić problemy?! – Burmistrz pochylał się nad nią i opryskiwał śliną. – Wstyd! Ale to już koniec twojej bezczelności! Na zawsze!

Dziadek

Dzisiaj mój dziadek wziął walizkę i pomaszerował wraz z innymi dziadkami. Gdy dojdzie na miejsce, wsiądzie na statek i popłynie za morze. Wszyscy dziadkowie, i chyba też babcie, będą tam mieszkać w kraju, w którym jest o niebo lepiej niż w naszym. Tak powiedziała mi mama.

A zaczęło się wszystko zimą. Wtedy dziadek zachorował. Opiekowałem się nim, spędzałem z nim cały czas, aż tata mnie stamtąd wyganiał i mówił, żebym sobie coś lepszego do roboty znalazł.

A dziadek chorował, chorował i był coraz słabszy. Jadł tylko kaszkę, którą ja mu podawałem. Potem, na wiosnę, czuł się już lepiej. Ale na ryby już nie mógł mnie wziąć. Przed chorobą dziadka, chodziliśmy razem na ryby. Bardzo często. Czasami żadna ryba nie dała się złapać, ale to nic, bo lubiłem z dziadkiem rozmawiać. Zna tyle historii! I tę jak był młody i musiał iść na wojnę, i tę jak poznał babcię i mnóstwo innych o ludziach, których nie znam.

Niestety teraz dziadek musiał odejść. Tata mówi, że w końcu. I z tej radości pił wódkę, z mamą w domu, a zawsze tylko pije z kolegami, gdzieś na mieście. I jak wraca do domu, to śmierdzi, zatacza się

i krzyczy. Krzyczy też mama, na tatę, bo przechlał znowu pieniądze. A my mamy mało pieniędzy.

Dziadek też miał mało pieniędzy, ale zawsze kupował mi coś słodkiego. Na przykład takie ciągnące się cukierki, co przyklejały się do zębów. Albo wielkie lizaki, od lizania których aż bolał język.

Mama jednak mówi, że musiała dopłacać do dziadka więc dobrze, że urząd wydał decyzję i przyznał w końcu dziadkowi miejsce na statku. Poza tym, mówi mama, dziadka pokój będzie można teraz wynająć studentom i będzie więcej pieniędzy.

Wczoraj dziadek dał mi dużą czekoladę i przytulił i płakał. I ja też zacząłem płakać.

– Nie płacz – powiedział dziadek.

– Płaczę, bo ty też płaczesz, dziadku.

– Nie płacz, wnusiu. Chcę ci coś opowiedzieć. Dziadek musi opuścić dom, wyjechać daleko stąd, bo jest już stary. Nie pracuję, inni muszą mi pomagać. Wszyscy ludzie w pewnym momencie muszą odejść. Zostawić rodziny, nawet takie kochane wnuki jak ty i pójść daleko stąd.

– To ja pójdę z tobą. Będę ci pomagał we wszystkim, nie będziesz musiał nic robić. Zobaczysz, poradzimy sobie!

– Nie możesz.

– Mogę, bo też nie pracuję i nie zajmuję się sobą, tylko mama robi mi śniadanie. Ale ty mnie wszystkiego nauczysz i będziemy sobie żyć, ty i ja.

– Ale ty masz tutaj wiele do zrobienia. Musisz urosnąć, zaczniesz pracować, opiekować się swoją żoną i dziećmi. Aż któregoś dnia zostaniesz dziadkiem, tak jak ja.

– A jak będę stary, to przyjadę do ciebie?

– Tak, jak będziesz stary, to się spotkamy. Będziemy znowu razem. Ty, ja, babcia, choć nawet jej nie pamiętasz, też będzie z nami.

Dziadek otworzył starą walizkę i pokazał mi, co zabiera ze sobą. Tam były dokumenty, bielizna, trochę ubrań i zdjęcie ze mną.

– Zobacz. Mam to zdjęcie. Ile razy spojrzę na nie, będziesz o tym wiedział.

– A ja będę patrzył na twoje zdjęcie i też będziesz wiedział, że cię kocham i tęsknię.

Miałem zdjęcie dziadka, choć tata kazał mi je wyrzucić i nie trzymać tego starego pryka, bo jestem mężczyzną, a nie babą. Bruno, mój starszy brat, powiedział mi, że i tak zabiorą dziadkowi moje zdjęcie i je wyrzucą. Zapytałem, kim są ci oni i dlaczego to zrobią. Bruno powiedział, że ci z urzędu nie pozwalają brać ze sobą prywatnych rzeczy. Nie chciał powiedzieć, skąd to wie. Może ze szkoły. Bruno widział w zeszłym roku, jak starzy ludzie szli dużymi grupami na północ, do morza. Nie wierzę w żaden statek, w żaden kraj, gdzie niby babcie i dziadki mogą mieszkać, powiedział Bruno. A potem chyba płakał, chociaż jest już duży. Ale też jest przecież wnuczkiem dziadka.

I dziadek musiał sobie pójść. Wziął walizkę z moim zdjęciem, rozejrzał się po domu. Mama tylko powiedziała: żegnaj. Tata nie pożegnał się z dziadkiem, tylko siedział przed telewizorem i cieszył się z uwolnienia od tego starucha, tak powiedział. Dziadek na progu bardzo

mocno mnie przytulił, aż płakałem. Ja też go mocno, mocno uściskałem, chyba też go bolało, bo też płakał. I poszedł.

Razem z Bruno pobiegliśmy za dziadkiem. Chcieliśmy wiedzieć, dokąd idzie. Ciężko było go zobaczyć, bo na ulicach było już dużo starszych pań i starszych panów. Wszyscy mieli walizkę, albo plecak i strasznie smutne miny.

Szli na wielki parking, tam, gdzie się zatrzymują te duże ciężarówki i czasami autobusy. Na parkingu panowie w garniturach dziadkom i babciom zabierali dokumenty i kazali wsiadać do starych ciężarówek na pakę. Przez chwilę widzieliśmy dziadka, rozglądał się, może szukał nas, ale musiał wejść do samochodu. Bruno złapał mnie i chociaż krzyczałem i kopałem go, nie pozwolił mi biec za dziadkiem.

A teraz tata razem z mamą piją wódkę, cieszą się i tańczą. Nawet Bruno nie pamięta, żeby mama z tatą tańczyli.

A mi jest smutno. Ale niedługo urosnę i spotkam się z dziadkiem. I kupi mi czekoladę, a potem pójdziemy na ryby.

Grupa wsparcia

Zazdrość starszego dziecka o ledwie co urodzone młodsze podobno jest normalna i powszechna. Jednak zazdrość dorosłego rodzeństwa o dziecko urodzone przez siedemdziesięcioośmioletnią matkę, które zrobił osiemdziesięcioletni ojciec, psychologowie uznali za nienormalne i rzadkie zjawisko. Ale po kolei.

Nigdy i nikt mnie tak nie zaskoczył, jak ta informacja. Kiedy twoi rodzice są w podeszłym wieku, to niestety spodziewasz się informacji o ich chorobie albo nawet śmierci. Nikomu nie przychodzi do głowy, że staruszkowie, dosłownie staruszkowie, zmajstrowali dzieciaka. I też dosłownie zmajstrowali, no przecież zapłodnienie nie odbyło się, że się tak wyrażę, drogą naturalną.

Czułem przez skórę problemy, kiedy zaproszony przez rodziców zobaczyłem, że z ich domu, w którym się wychowałem, zniknęły niektóre rzeczy. Lubię pochodzić, pooglądać kąty, z którymi związane są wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa. Szczęśliwego nie tylko dlatego, że byłem jedynakiem, ale dzięki rodzicom. Byli świetni, dobrze mnie wychowali, nigdy nie mogłem na nich narzekać, nie miałem powodów, żeby się buntować.

Wszystko było dobrze, aż do tamtego dnia, kilka miesięcy po moich pięćdziesiątych urodzinach. Oglądam dom, widzę, że po tylu latach

zniknął z garażu mój stary motor. Rodzice w końcu odcinają pępowinę, pomyślałem. Zauważyłem również brak drugiego telewizora, który stał w kuchni i kilku drobniejszych urządzeń. Zaniepokoiłem się. Zawsze mieliśmy dobre relacje, więc skoro wpadli w jakieś tarapaty finansowe, powinni byli mi powiedzieć. Nic to, zobaczymy, przecież zaprosili mnie żeby przekazać jakąś ważną informację.

Mama zrobiła kawę, położyła na stole talerzyk z ciasteczkami. Tata przekomarzał się z nią. Idylla. Dopóki nie zaczęła się rozmowa.

– Chcielibyśmy ci coś oznajmić – zaczęła mama. Tata nigdy nie był zbyt wylewny, za to zawsze mogłem na niego liczyć w trudnych chwilach. – To może być dla ciebie, że tak powiem, dość zaskakująca informacja.

– Słucham, mamo. – Tak, z pewnością zainwestowali w jakąś piramidę finansową i nie stać ich na kupno ryby dla kota. I dlaczego nie przyszli z tym do mnie wcześniej? W końcu pracuję w banku!

– Otóż będziemy mieli dziecko.

Dlaczego Lidka, moja żona, powiedziała im wcześniej niż mi?! Ciąża? W tym wieku? Jak to się stało?

– Lidka chyba żartowała. Przecież wiedziałbym, że jest w ciąży.

– A co ma do tego Lidka? Jej nie mówiliśmy. Chcieliśmy powiedzieć ci pierwszemu, synu! – Mama zrobiła dziwną minę.

– Nie rozumiem!

– To nie Lidka jest w ciąży. Ja jestem w ciąży! – powiedziała moja siedemdziesięcioośmioletnia matka.

Zacząłem się śmiać, ale widząc, że ojciec ma poważną minę, zrozumiałem: są chorzy, mają problemy z pamięcią, cofnęli się do czasu, kiedy oczekiwali na moje narodziny. Decyzja mogła być tylko jedna.

– Kochani! Zabiorę was do znajomego lekarza. Wszystko będzie dobrze! – Próbowałem uspokajać także siebie.

– Nie, to ty nas posłuchaj! – pierwszy raz odezwał się ojciec i to zdecydowanym tonem. – Mów, kochanie – zwrócił się do mamy.

– Jeszcze raz. To co mówię, odnosi się do nas. – Mama wskazała dłonią na siebie i tatę. – Trudno ci w to uwierzyć, ale to prawda, nie żartuję. Jestem w ciąży, będziesz mieć rodzeństwo. Medycyna poszła naprzód, dzięki in vitro ludzie w takim wieku jak my mogą jeszcze mieć dzieci. Bo ojcem oczywiście jest twój tata. Pomyśleliśmy, że nigdy nam się nie udało mieć drugiego dziecka. Praca była na pierwszym miejscu. Zawsze będziesz naszym pierworodnym. Zawsze będziemy cię kochać. Jednak chcieliśmy mieć…

Mama, prawdopodobnie widząc moją minę, zapadła w jakiś słowotok. Później zrozumiałem, że i dla nich musiała to być trudna rozmowa.

Tata podał mi jakiś dokument poświadczający odmienny stan mamy. Drżały mi ręce. Nawet gdybym mógł wydobyć z siebie głos, nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Trochę nas to kosztowało, musieliśmy sprzedać parę rzeczy, ale nie ma takiej ceny… – Nie słuchałem dalej, wybiegłem, wsiadłem do samochodu i krążyłem jak jakiś zboczeniec albo morderca obwodnicą aż skończyło się paliwo.

Policja znalazła mnie siedzącego w samochodzie, bez słowa patrzącego przed siebie i od czasu do czasu potrząsającego głową. Opowiedziała mi to żona, gdy przywieźli mnie do domu. Sądzili, że cierpię na jakąś chorobę. A ja tylko cierpiałem. Dlaczego mnie to spotkało? Niestety, to był dopiero początek problemów.

W ciągu tygodnia cały kraj dowiedział się o moich rodzicach. Jakiś kretyn z kliniki zdradził na dodatek ich dane osobowe, co skończyło się najazdem dziennikarzy na ich dom i próbami sforsowania ogrodzenia.

Rodzice byli przeszczęśliwi. Cieszyli się tą sławą, choć cały czas podkreślali, że robią to nie dla siebie, ale dla dziecka. Na pewno mówiąc „dziecko" nie mieli na myśli mnie, swojego synka. Nie odwiedzałem ich, wszystko relacjonowała mi Lidka.

Koledzy w pracy, skądinąd wykształceni, stateczni ludzie, jak to pracownicy banku, mieli używanie.

– Jeśli jurność jest dziedziczna, to przed tobą wspaniałe perspektywy!

Przez pierwsze dni reagowałem nerwowo na takie docinki, a z czasem dałem sobie spokój. Gdyby to któregoś z nich dotyczyła ta sytuacja, też pewnie bym mówił jak oni:

– No, twoi rodzice przeżywają drugą młodość!

– Może ojcem jest listonosz?!

Ograniczyliśmy kontakty ze znajomymi, nie patrzyliśmy sąsiadom w oczy. Jak przestępcy. Syn i córka uczyli się poza domem, ale im również nie było łatwo. Żona mnie wspierała. Sprawa ucichła, spadło zainteresowanie.

A brzuch mamy się podnosił.

A pewnego dnia wszystko wybuchło z nową siłą. Telewizja prawie transmitowała narodziny mojego… brata. Brrrata. Braaata! Nie miałem rodzeństwa przez pierwsze pięćdziesiąt lat mojego życia, a teraz miałem brata.

Rodzice skoncentrowani byli tylko na Teodorze Juniorze. Ciekawe, dlaczego ja nie nosiłem imienia taty, tylko ten wybryk natury?

Zacząłem ich odwiedzać. Mówili tylko o nim. Odwiedziny rodziny, znajomych, sąsiadów i zupełnie obcych ludzi traktowali jak kustosz w muzeum oprowadzanie wycieczek: fachowa informacja wraz ze szczegółami jak, gdzie, kiedy i za ile zrobili sobie tego przepięknego dzieciaczka. Okazało się, że wszyscy alchemicy i naukowcy przez tysiące lat pracowali tylko nad tym, by moja matka staruszka i jej równie wiekowy mąż mogli zajść w ciążę! Tyle tęgich głów pomogło moim starym skompromitować się! I mnie przy okazji.

Nie to było najgorsze. Dla nich istniał tylko Teodor Junior, ja już nie liczyłem się. Zauważali mnie, ale tylko dlatego, że oczy człowieka podążają automatycznie za ruchem w obrębie pola widzenia. Jakbym był zwierzęciem na poboczu drogi: O! sarenka! Jedziemy dalej.

Nie spodziewałem się, że tak zareaguję, a byłem po prostu zazdrosny.

– Nie bądź dzieckiem! – powtarzała żona i dodawała: – Trudno, stało się. Twoi rodzice zachowali się nieodpowiedzialnie. Chociaż ty się nie ośmieszaj. Żeby dorosły człowiek był zazdrosny o rodzeństwo? Kto to widział? Cała rodzina zresztą jakaś dziwna, się okazuje…

Pewnego popołudnia Lidka siedząc w fotelu, czytała gazetę, ja błądziłem myślami. Aż w końcu podszedłem do niej, uklęknąłem i powiedziałem:

– Mama!

A potem włożyłem kciuk do ust i zacząłem go ssać.

– O, żesz ty, kurwa, ja pierdolę! – A trzeba wiedzieć, że moja żona do tamtego dnia nie przeklinała.

I uciekła.

Spaliśmy odtąd osobno. Ja zaś całymi nocami, nie mogąc zasnąć, chlipałem w poduszkę i ssałem ten cholerny kciuk, aż wyglądał jak zepsuty marynowany ogórek. Moja mina, postawa i sposób zachowania się przypominały psa, najpierw bitego, potem oddanego do schroniska, adoptowanego i z powrotem oddanego do schroniska.

Tak bardzo tęskniłem do rodziców, których zabrał mi ten cholerny Junior! To ja, ja byłem Teodorem Juniorem, pierworodnym, jedynym, najukochańszym synkiem! A ten twór laboratoriów odebrał mi wszystko: rodziców, ich miłość, udane życie a także sprawność seksualną. I prawie pracę, bowiem mój szef, widząc, jak snuję się korytarzem banku odstraszając klientów płaczem, wysłał mnie na urlop zdrowotny.

Moja podświadomość pracowała na najwyższych utajonych obrotach, by zwrócić na mnie uwagę rodziców. Brudny, nieogolony, śmierdzący wkroczyłem pewnego razu do budynku jakiejś fundacji, gdzie zbierały się różnego rodzaju grupy wsparcia. Chodziłem od sali do sali, otwierałem każde drzwi i pytałem:

– Czy jesteście grupą wsparcia dla Dorosłych Odrzuconych Dzieci?

Wezwani policjanci najpierw przebadali mnie alkomatem, a potem odwieźli do domu, wykazując się niezwykłą dla niech delikatnością i opiekuńczością. Lidka otworzyła drzwi. Nigdy nie zapomnę jej wzroku. I poszła spać.

Całą noc spędziłem na wertowaniu książki telefonicznej i szukaniu w internecie Dorosłych Odrzuconych Dzieci. Nie znalazłem. Zrozumiałem, że to już koniec. Pozbawiony rodzicielskiej miłości, bez wsparcia żony i dzieci, a także bez pomocy obcych, moim przeznaczeniem była śmierć.

Cały następny dzień w deszczu i łzach człapałem po mieście, obmyślając sposób pozbawienia się życia. Skoro i tak byliśmy pod obstrzałem mediów, postanowiłem popełnić samobójstwo w miejscu publicznym. Niech mają, sępy, używanie! Będę miał również okazję wygarnąć wszystko moim rodzicom przed kamerami. Nie odbierałem komórki, a niech się wszyscy martwią…

Wieczorem wlazłem na pięknie oświetlony most i czekałem. Parę osób wprawdzie mnie zauważyło, jakiś młodzian powiedział nawet, żebym zszedł, ale nikt telewizji nie powiadomił. Byłem dramatyczny jak główny bohater telenoweli, a i tak nikt się nade mną nie ulitował. Zmarzłem, ścierpły mi nogi i ręce. Podjechał policyjny radiowóz. Okazało się, że to byli to ci sami policjanci, którzy już odwozili mnie do domu.

– Proszę zejść, bardzo prosimy! – zaczęli swoją litanię do Jana na moście.

– Nie! Skoczę, ale przedtem chciałbym powiedzieć światu całą prawdę o moich rodzicach! – krzyczałem.

Kilka osób, widząc policję, zatrzymało się, dopytywali policjantów o co mi chodzi. Policjanci zadzwonili do mojej żony. Przyjechała, wysiadając z samochodu założyła kaptur na głowę. Chyba się wstydziła.

– Złaź, idioto! – krzyknęła. – Twój ojciec miał rano zawał.

Tata był dzielny, uśmiechał się. Na mój widok zaszkliły mu się oczy. Przy jego łóżku była mama z Teofilem Juniorem. Lidka trzymała mnie za rękę i wszystkich pocieszała.

Tam, w szpitalu, zrozumiałem coś ważnego. Moi staruszkowie byli nieodpowiedzialni, po ich śmierci pewnie ja będę wychowywał Juniora. Wpędzili mnie w depresję, zrobili z rodziny pośmiewisko na cały świat.

Obejmowałem ich wszystkich i wiedziałem, że to ja muszę być mądrzejszy, bardziej odpowiedzialny, muszę być opiekunem dla swoich rodziców. I było mi z tym dobrze. Byłem gotów.

Polak, Niemiec i Rosjanin

Wizyty robocze między poszczególnymi działami były w piekle rzadkością. Wprowadzono je, by pracownicy mogli powymieniać doświadczeniami. Imprezy wieczorne były dodatkowym bonusem, choć część pracowników traktowała je jako clou wyjazdu.

Co nowy szef, to nowe pomysły na organizację pracy piekła i jego pracowników. Aktualny szef zarządził na początek wymianę między oddziałami europejskim i azjatyckim. Wycieczka z Azji liczyła kilkanaście osób, sami wyżsi managerowie, którzy starali się zobaczyć i usłyszeć jak najwięcej, aby potem wdrożyć skuteczne rozwiązania w swoim miejscu pracy. Do rejestracji tego, co zobaczyli i usłyszeli używali najnowocześniejszych modeli aparatów cyfrowych, kamer, dyktafonów, systemów bezpośredniego przesyłu danych. Wchodzili nawet tam, gdzie wyraźnie było napisane: „zakaz wchodzenia” lub „tylko dla personelu”.

Azjaci czuli się jak u siebie. Jedno im przeszkadzało. Europejskie biura i sale dla grzeszników usytuowane były w starych, zabytkowych budynkach. Twierdzili, że jest tam brudno. Gospodarze zaś, że to tylko złudzenie i panuje taki sam porządek jak w sterylnych, wypucowanych biurach w nowoczesnych biurowcach, czy to w Pekinie, czy w Tokio. Goście jednak przez cały czas trwania odwiedzin mieli wątpliwości.

Wielu z nich zakładało jednorazowe rękawiczki. Szczególnie, gdy schodzili do przepastnych piwnic, gdzie trzymano grzeszników. Choć akurat tam, trzeba obiektywnie przyznać, bywało czyściej niż w biurach u góry.

Pomieszczenia potępieńców wyglądały jak bardzo tanie hotele. Nieduże pokoje, wyposażone w tapczan, biurko, szafę, półeczki. Mały aneks kuchenny, a także łazienkę. Pomieszczenia dla służby, jak to nazwał przewodnik, były mniejsze, trochę gorzej wyposażone. No i służba sprzątała sobie sama oczywiście, dodawał.

Azjaci nie bardzo rozumieli koncepcję, jaka legła u podstaw takiej organizacji tej części piekła. Domagali się wyjaśnień.

– Zaczęliśmy od analizy kosztów kary indywidualnej – powiedział przewodnik w diabelsko nienagannie skrojonym garniturze. – Stwierdziliśmy, że dla efektywnego funkcjonowania, musimy zminimalizować koszty. Poprzednie kierownictwa jakoś się tym problemem nie zajmowały. Kryzys dopadł nawet naszą… organizację. Zwolnienie kadry z oczywistych względów nie wchodziło w rachubę. Umowy mamy przecież na wieczność.

Wszyscy zarechotali i ze zrozumieniem pokiwali głowami. Niektórzy rozluźnili się i poodpinali białe kołnierzyki.

– Nasz dział analiz i ekonomiczny współpracowały ze sobą i doszły do następujących wniosków – kontynuował przewodnik. – Otóż połączyliśmy kary indywidualne dla przedstawicieli trzech narodów: Polaków, Niemców i Rosjan.

Co światlejszym i lepiej wykształconym azjatyckim szatanom coś zaczęło świtać w ich przylizanych żelem głowach. Reszta wzruszyła ramionami.

– Proszę wyjaśnić precyzyjnie, o co chodzi – poprosił opiekun grupy.

– Oczywiście. Cały czas zmierzam do konkluzji. Proszę mi powiedzieć, ile osób u was obsługuje jednego grzesznika?

– Jesteśmy z pewnością najoszczędniejszym oddziałem po tym względem – odezwał się jeden ze zwiedzających. – Dzięki zmechanizowaniu obsługi karanych, tylko zero pięć diabła przypada na jednego dręczonego. Nowoczesność…

– Dziękuję. – Przewodnik przerwał mówiącemu. – Innymi słowy, jeden z was obsługuje tylko dwóch klientów. Chciałem więc powiedzieć, że u nas jeden nasz kolega nadzoruje stu, powtarzam, stu klientów.

Z triumfalną miną rozejrzał się po odwiedzających. Miny mieli nietęgie, choć starali się nie okazywać zazdrości.

– Niesamowite! – Nie wytrzymał w końcu ktoś z wycieczki. Opiekun grupy skarcił go wzrokiem.

Przewodnik wskazał palcem na swój identyfikator.

– Klnę się na Kodeks Postępowania Diabelskiego i moje nazwisko. I już tłumaczę, jak to możliwe. Otóż, wy brudzicie sobie tradycyjnie ręce, znęcacie się fizycznie nad klientami. I co to za mechanizacja? Wy się męczycie, następuje wypalenie zawodowe i przenoszeni jesteście w coraz gorsze warunki pracy, bo się w innych nie sprawdzacie. Zaś w naszym dziale klienci wymierzają kary sobie nawzajem. My jesteśmy tylko od pilnowania porządku i ewentualnego motywowania ich do

działania, bo oporni oczywiście się zdarzają. Proszę za mną, pokażę wam zamieszkałą część i wyjaśnię nasz prawdziwie diaboliczny pomysł do końca.

Całą grupą ruszyli za przewodnikiem. Szeroki hall doprowadził ich do części już zasiedlonej. Po korytarzu snuły się smutne postaci, wchodziły do mieszkań z widocznym niezadowoleniem, a czasami wściekłością. Gdy ktoś wychodził, to najczęściej poczerwieniały na twarzy, z bezsilnością zaciskając pięści, albo wybiegał z płaczem. Błysnęły flesze, poszły w ruch kamery.

– Proszę usiąść. – Przewodnik wskazał krzesła i stoliki stojące w rozszerzeniu hallu. – Tutaj przebywają tylko i wyłącznie Polacy, Niemcy i Rosjanie. To część dla mężczyzn. Polacy, mieszkający każdy sam, ma do obsługi jednego Niemca i jednego Rosjanina. Co tu dużo mówić, są po prostu służącymi. Nasi psychologowie, znając historię tych trzech krajów, jak i stosunki panujące od stuleci między tymi narodami, doszli do wniosku, że największą karą dla Niemców i Rosjan będzie służenie Polakom. Tak więc i Rosjanie i Niemcy przeżywają najgorsze męki musząc obsługiwać Polaków, których, delikatnie mówiąc, nie lubią. Zresztą – z twarzy przewodnika biło zadowolenie i duma – między Rosjanami i Niemcami też jest sporo konfliktów, do bójek i okaleczeń włącznie.

Rozległ się szmer podziwu, część z odwiedzających biła brawo. Przewodnik grupy tym razem nie zareagował, a nawet sam kilka razy klasnął.

– Przyczyną dodatkowych konfliktów jest to, że Niemcy starają się być pracowici i perfekcyjni nawet tutaj. Bałaganiarstwo Rosjan bardzo im przeszkadza. Z kolei Rosjanie twierdzą, że Niemcy są drobiazgowi,

aż do upierdliwości, a są rzeczy ważniejsze, niż na przykład sprzątanie. Tak więc czasami znajdujemy ich bijących się między sobą, wyrywających sobie kończyny. Na co dzień są głęboko nieszczęśliwi z powodu wzajemnej przymusowej bliskości i konieczność współpracy.

Zwiedzającym podano czarcie napary, raczyli się również ciasteczkami i czekoladą z papryką.

– Wszystko rozumiem, oprócz jednej sprawy. – Opiekun grupy przełknął kawałek ciasteczka. – Proszę powiedzieć, co z Polakami. Przecież dwóch ludzi codziennie im usługuje, robią wszystko za nich. Wprawdzie mogą się czuć samotni, izolowani jeden od drugiego, ale to zbyt mała kara za ich grzechy. Przecież to nie dom wczasowy!

Wszyscy wizytujący jak jeden diabeł spojrzeli na przewodnika. Ten z szatańską nonszalancją upił łyk kawy.

– Przyprowadź jakiegoś Polaka. – Skinął na jednego z pomagierów. – Po pierwsze wykorzystujemy ich zwichrowaną moralność. Po drugie, zmuszamy ich do uczciwości, czyli szczerego opowiadania o tym, co czują i myślą. A to utwierdza ich w przekonaniu, że cierpią.

Młody szatan wszedł na najbliższego pokoju i wyciągnął z niego małego, chudego Polaka, który ze strachem w oczach stanął przed grupą.

– Jak się czujesz? – zapytał manager. – Tylko nie kłam!

– Źle. Niedobrze. Cierpię – zastękał człowieczek. – Chciałbym już stąd wyjść. Nawet znajomych tu nie mam.

– Ale za to masz swojego Szkopa i Ruska.

–Tak, mam. Robią wszystko, ale często się kłócą, przeszkadzają mi. Poza tym, wie – zawahał się na chwilę i dokończył: – pan to doskonale, są tu za karę, służą mi nieszczerze. Nie mogę tego znieść. Zawsze Niemcy i Rosjanie kręcili i kłamali. Zawsze mieli nas w głębokiej pogardzie. Tutaj jest tak samo. Nie wytrzymam tego. Mam dość tych hipokrytów. Korzystając z okazji powiem też, że podejrzewam, że knują przeciwko mnie! Jak zwykle od początku świata. Proszę, ja nie chcę tu być. Nie z nimi! Możecie mnie smażyć, znęcać się nade mną, ale zabierzcie ode mnie te dwie żmije! Błagam!

Przewodnik skinął dłonią i pomagier wepchnął jęczącego Polaka z powrotem do pokoju. Wszyscy zwiedzający wstali i ze szczerym podziwem bili brawo.

Bagna

Czy ta historia z topieniem dzieci w bagnie kogokolwiek czegokolwiek nauczyła? Nie wiem. Nie chcę nikogo pouczać ani moralizować. Po prostu mówię jak było.

Zaczęło się przypadkiem. Jak to dzieciaki, gdzieś musieliśmy się bawić, a skoro nikt nie pomyślał, że może potrzebujemy jakiegoś placu zabaw lub czegoś podobnego, to znaleźliśmy sobie bagna. Prawdę mówiąc nie musieliśmy ich szukać, wystarczyło wyjść z naszych ciemnych podwórek leżących przy walących się starych kamienicach i już byliśmy na bagnach. Ulica, przy której mieszkaliśmy, była jedną z ostatnich w naszym miasteczku. Ostatnią leżącą tuż przy wylocie z miasta, jak i ostatnią pod każdym innym względem. Nie miał się kto nami zajmować. Matki ciężko pracowały albo ciężko się kurwiły, a wszystko po to, by utrzymać dom i nas. Nasi ojcowie ciężko pracowali, albo chlali. Albo łączyli pracę z ciężkim chlaniem. Musieli chlać, bo ich żony się kurwiły, tak twierdzili.

Jakby nie było, biegaliśmy samopas gdzie popadnie. A bagna były pełne zagadek, miejsc ciekawych i zarazem niebezpiecznych. Kiedyś było tam jezioro, ale zaczęło wysychać i zrobił się olbrzymi teren z kupą błota. Bawiliśmy się tam w Indian, w chowanego, w wyprawy po skarby.

Dla nas, dzieciaków, teren był fascynujący, dla rodziców w chwilach, gdy przypominali sobie, że mają dzieci bawiące się na bagnach, było to miejsce, gdzie mogli je stracić. A niektórzy cieszyliby się, bowiem nie byliśmy najgrzeczniejszymi dzieciakami pod słońcem. Co więcej, wiele z nas skończyło w więzieniach, na krzesłach elektrycznych, a co najmniej jako pijacy i dziwki. Inni byli i są porządnymi obywatelami, co być może było zasługą bagien, bo nie sądzę, że naszych starych.

Bardzo często któreś z nas zapadało się po kostki i wracało do domu śmierdzące, ale szczęśliwe. Często błocko wciągało nas aż po pas i byliśmy jeszcze szczęśliwsi, zostawaliśmy bowiem jednodniowym bohaterem. Choć powinni być nimi ci, którzy nas wyciągali. Jednak cały splendor spływał na odratowanego. Zawsze po takim zdarzeniu oprócz ulicznej chwały był prysznic, latem na podwórkach pod hydrantami, i bura od matki, jeśli była akurat w domu. Ci z największą ilością odratowań, przechodzili do naszej ulicznej legendy. Chmary dzieciaków przez sezon lub dwa opowiadały sobie, jak to Purchawa osiem razy zapadał się po pas, a czasami dalej i nic! Ani się skrzywił, nie mówiąc o płaczu!

Pewnego ciepłego wiosennego dnia Bocian, chudy i wysoki chłopak, zapadł się nie wiadomo gdzie i kiedy. Na początku wszyscy myśleli, że wrócił do domu pilnować młodsze rodzeństwo. Po dwóch dniach jednak, gdy matka wreszcie wróciła do domu, a jego stary trochę przetrzeźwiał, wszyscy się zaniepokoili. Rozpoczęto przesłuchania, ktoś z kumpli wskazał, gdzie ostatni raz go widział. Policja wprawdzie przyjechała, ale niechętnie, bo często uciekaliśmy z domu i sądzili, że Bocian pojawi się za jakiś czas, głodny i brudny. Nie mogąc wytrzymać ze starymi jechaliśmy w kraj, aby pić, kurwić się lub brać dragi, protestując w ten sposób przeciw naszym starym i temu, jak nas

traktowali. Tak więc policjanci nie wierzyli zbytnio, ale że ludzie z ulicy zaczęli gromadzić się wokół radiowozu i groźnie pomrukiwać, gliniarze chcąc nie chcąc ściągnęli strażaków.

Ci z obrzydzeniem na twarzach i kombinezonach na sobie, rozpoczęli poszukiwania. W tym czasie tłum gęstniał, niektórzy z rozpaczy już popijali tanie wino, część kobiet płakała. Po kilkunastu minutach strażacy wyciągnęli ciało Bociana z bagna. Nasi zareagowali jak zwykle, oskarżając o śmierć chłopaka rząd, szkołę, policję i zdezorientowanych strażaków – że niby za późno przyjechali.

Od zaginięcia Bociana minęły dwa dni, ale jego stan wydawał się nadzwyczaj dobry. Oczywiście był brudny, ale wszyscy ocenili jego wygląd na całkiem świeży. W momencie, gdy policjanci, bojąc się zamieszek, zaczęli wzywać posiłki, matka Bociana, dotąd trzymająca go w ramionach, rzuciła nim o miękką ziemię, aż rozległ się głuchy dźwięk.

– Co jest, kurwa?! – Ni to spytał, ni stwierdził ojciec chłopaka i na wszelki wypadek trzasnął swoją starą otwartą dłonią w pysk.

– On żyje! – wrzasnęła matka Bociana i zaczęła go tulić i całować. To był jedyny raz w życiu Bociana, gdy matka to zrobiła. Niedoszły trup otrząsnął się z natrętnej rodzicielki i wstał.

– Co jest, kurwa?! – Bocian rozejrzał się wokół.

– Mój syn, to mój syn! – rozdarł się ojciec, który od urodzenia potomka zawsze, także na trzeźwo, twierdził, że Bocian nie jest jego synem z uwagi na rozrywkowe życie prowadzone przez żonę. I mówiąc prawdę, Bocian ani trochę z wyglądu nie przypominał tego faceta.

Tłum najpierw ucichł kompletnie, a następnie się rozwrzeszczał i tak już było przez kolejne dni i tygodnie. Każdy udzielał wywiadów,

przedstawiał swoje teorie na temat tego wydarzenia. Nasi starzy nigdy nie byli tak bogaci, jak w tamtych dniach. Za każdy wywiad brali od dziennikarzy na dobrą wódkę. Byliśmy bohaterami w całym kraju, a Bocian pozował do zdjęć za karton papierosów. Z dumą wskazywał miejsce, gdzie w bagnie spędził dwa dni. Wywiadów udzielali jego starzy, za duże pieniądze, które potem wydali na wielkie przyjęcie dla całej ulicy.

Wszystkie autorytety od bagien w kraju i zagranicą zastanawiały się jak to możliwe, że przebywając czterdzieści osiem godzin w błocie, Bocian nie tylko przeżył, ale co więcej, wydawał się grzeczniejszy niż do tej pory. Nic za bardzo nie wymyślili. My za to wiedzieliśmy swoje. Skoro mamuty, wprawdzie martwe, ale całkiem dobrze przechowywały się tyle tysięcy lat, to czemu taki Bocian nie mógł przez dwa dni? Najwidoczniej nasze bagna posiadały jakieś dodatkowe właściwości, dzięki którym mój kumpel (nie bardzo go lubiłem wcześniej, ale przecież był gwiazdą!) przeżył.

Kilka dni po cudownym odratowaniu, Bocian w końcu nam powiedział, co pamięta z pobytu w bagnie.

– Chciałem się schować przed wami, polazłem za ten duży krzak, gdzie mnie potem znaleźli. Niestety, zacząłem się zapadać. Wołałem was, ale żaden cymbał mnie nie usłyszał! Wtedy sobie pomyślałem: jest, kurwa, źle.

Bocian zamyślił się, jak nigdy.

– Wciągało mnie coraz głębiej i głębiej. Jak doszło do nosa, to nawet przestałem się szamotać. Żal mi tylko było, że nigdy się nie dowiem, jak to jest, wiecie, być z dziewczyną…

Starsi ze słuchających chłopaków pokiwali ze smutkiem głowami, a dziewczyny przysunęły się bliżej Bociana.

– Tego, co wam teraz powiem, dla waszego dobra, łajzy, nie możecie nikomu powtórzyć! – Bocian rozejrzał się wokół siebie. – Przysięgajcie!

No to przysięgliśmy po kolei na wszystko, co dla nas święte. A nie było tego wiele.

– Jak zapadłem się po czubek głowy, błysnęło mi w oczach i przestałem cokolwiek czuć – kontynuował niedoszły trup. – Przez cały ten czas, a wydawało mi się, że jestem tam całe lata, widziałem jakby film o sobie. Ale pokazywało mi się tylko to, co złego zrobiłem w życiu. Z wami i bez was, wszyściusieńko! Bardzo żałowałem, a jeszcze bardziej bałem się, że to będzie trwało tak już zawsze i że zawsze będę żałował moich grzechów…

– Stary, byłeś w piekle… – szepnął ktoś z nas ze zdumieniem.

– I dlatego jesteś teraz taki lalusiowaty? – zapytał ktoś inny.

– Jestem grzeczny i już zawsze będę – powiedział uroczyście Bocian. – Nie mówcie o tym nikomu, bo albo nie uwierzą, albo będą się śmiali.

– Albo będą nas tam po kolei topić, żebyśmy się poprawili! – palnął Szczurek proroczo, choć nikt z nas wtedy nie przypuszczał, że Szczurek palnął to proroczo.

Ktoś ze słuchających tamtego wieczoru opowieści Bociana złamał jednak przysięgę.

Dowiedzieliśmy się o Mietku Gulaszu jak zwykle od którejś z naszych matek, które plotkowanie samo w sobie uważały za niezbędną życiową umiejętność, a nawet przejaw sztuki wyższej. A przygodą Mietka

pasjonowali się wszyscy. Jego żona, Gulaszowa, usłyszała od kogoś o wspaniałych właściwościach naszego bagna i postanowiła zrobić z nich użytek i poprawić swój los. Wraz ze swoją matką wywiozły pijanego Mietka na bagna i wcisnęły go w błoto. Z niejakim trudem, ale udało się, z czego były bardzo zadowolone. Miały nadzieję, że pijanica po paru dniach wspominania swoich grzechów wobec żony, dzieci i teściowej, po wyjęciu będzie już aniołem. Mietek po wyjęciu z błota okazał się zwykłym trupem, co dowodziło, że bagno działało tylko na dzieci. Albo tylko na trzeźwych, ale już żadna żona z naszej ulicy nie spróbowała tego ze swoim mężem. Odwiedzały za to Gulaszową w więzieniu. Teściowej Mietka nie odwiedzał nikt.

Tymczasem na bagno zaczęły zjeżdżać hordy naukowców, każda uczelnia i instytut chciał zbadać niezwykłe miejsce. Chodziliśmy popatrzeć na ich białe namioty, wielkie przyczepy, w których pełno było tajemniczych urządzeń.

Policja pilnowała terenu dzień i noc, szczególnie przed świrami, którzy przyjeżdżali wywrotkami i próbowali wywieźć jak najwięcej cennego błota na sprzedaż. Wtedy ulica wpadła na pomysł, że przecież to odkrywcy powinni na tym zarabiać. Oczyma wyobraźni wszyscy już widzieli jak przenoszą się do nowych, pięknych domów w dobrej dzielnicy, jak rzucają zasraną robotę i całymi dniami chleją, kurwią się i ćpają.

Był jednak pewien problem – burmistrz. Bagno leżało na terenie miasta, które z kolei należało nieformalnie do burmistrza. Powstał pat. Sądy nie wiedziały, komu przyznać własność do błota, odkrywcom czy miastu, więc jak to u nas bywa, kto sięgnął po nie, było jego.

Tak więc nasi rodziciele po kolei ładowali nas nocami w błoto, żeby wyjąć grzecznych, dobrze wychowanych i wzorowych uczniów. Udawało się, ale jak to w życiu bywa, tylko do pewnego momentu. Pewnego dnia matka Łysej chciała wcisnąć ją w bagno, ponieważ twierdziła, że jej córka w wieku czternastu lat zaczyna rozglądać się za chłopami i robi jej konkurencję. Ku zdumieniu nas wszystkich Łysa zaczęła się po prostu topić, niezwykłe właściwości bagna gdzieś się ulotniły. I wszystko wróciło do normy.

Nasza ulica znowu była ostatnią leżącą tuż przy wylocie z miasta, jak i ostatnią pod każdym innym względem.

Czy ta historia z topieniem dzieci w bagnie kogokolwiek czegokolwiek nauczyła? Nie wiem. Nie chciałem nikogo pouczać ani moralizować. Po prostu powiedziałem jak było.

Spis treści:

WŁOSY 4
RĘKAWICZKI 9
PROCEDURA 12
PRAWALEWA 17
NADZWYCZAJ WILGOTNY DZIEŃ 22
SĄSIEDZI 26
LOSOWANIE 32
UMOWA 40
PIGUŁY 43
GŁOWA 49
MUZA 57
DORASTANIE 63
OSTRZEŻENIE 68
NIEPOTRZEBNA ROZMOWA 73
WŁAMANIE 81
PARA PAM PU PA LA LA 89
DZIADEK 94
POWÓDŹ 98
GABINET 103
GRUPA WSPARCIA 109
POLAK, NIEMIEC I ROSJANIN 117
NOCNA ZAMIANA 123
KOSTKA 128
MUR 137
TEORIA 146
ŻYCIORYS 150
CZEKAJĄCA 154
GRUBA RYBKA 156
RYCERZ 163
BAGNA 168

O autorze

Urodziłem się w 1974 roku. Ukończyłem pedagogikę o specjalności resocjalizacja w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Bydgoszczy i studia podyplomowe na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu - organizacja pomocy społecznej. Pracowałem w lokalnej rozgłośni radiowej (początkowo pirackiej). Po studiach w Powiatowym Centrum Pomocy Rodzinie w Złotowie, najpierw jako pracownik socjalny, a w chwili obecnej jako konsultant do spraw osób niepełnosprawnych. Ponadto jestem mediatorem.

Żonaty od 1999 r.

Napisałem dwa poradniki: „Klucz do skutecznej komunikacji: „Jak rozmawiać, by osiągnąć zamierzony efekt?" i „Po prostu żyj. Klucz do podniesienia jakości życia" (Wydawnictwo Złote Myśli).

Interesuję się literaturą, muzyką, fotografią.
O swoich zainteresowaniach piszę na www.teatasters.blogspot.com), naukami humanistycznymi (swoją wiedzą dzielę się na www.pufal.wordpress.com), gram na instrumentach i tworzę muzykę (http://www.myspace.com/teatasters), jestem bardzo mocno aktywny w internecie (posiadam kilka blogów, jestem obecny na portalach społecznościowych).

Strona dotycząca moich publikacji:
www.przemyslawpufal.wordpress.com

adres email: przemyslawpufal@gmail.com